Tramwaj

Zagubione

Ciało z każdą sekundą pod ciśnieniem wody opada coraz głębiej na dno. Woda przenika wszędzie. Stopniowo wypełnia płuca. Utrudnia oddychanie. Wkrótce całkowicie odbierze tę możliwość. Nie ma sensu krzyczeć, nikt nie usłyszy. O ile, oczywiście, ktoś jeszcze tam jest, na górze.

Ostatnia rzecz, za którą można się zaczepić, to stłumiony brzęk i...

Biały sufit. Cienie uciekają od przytłumionego światła nocnej lampki, gdzieś w stronę lustra wiszącego na szafie. Ślizgają się po szkle i znikają, czekając na moment, by zaatakować.

Jakie głupoty, na pewno zapomniały, że znam sposób, jak je wyrzucić.

Zrywam się z materaca leżącego na podłodze zamiast łóżka i uparcie idę w kierunku przeciwnika, gdy nogi plączą się w kocu, i znowu upadam na ziemię.

Porażka? Nieprzyjemne, ale znośne.

Wydostaję się z miękkiej pułapki i jak najszybciej docieram do szafy. Trzeba upewnić się, że wszystko jest tak, jak wcześniej. Że jest w porządku. Świecę telefonem przed sobą.

Odbijająca się powierzchnia pokazuje tylko mnie. Nikogo więcej. Ale ręce drżą. Gardło piecze, jak po długim kaszlu, a włosy przyklejają się do czoła. Otwieram drzwi szafy. Wszystko czyste. Drzwi zatrzaskują się z piskiem.

„To wszystko tylko w twojej głowie”

Głosy, które wcześniej hałasowały, okazały się tylko piosenką. Prawie jej nie słychać. Grała w słuchawkach, które zapomniałem wyłączyć, zostały gdzieś na poduszce.

Patrzę na telefon, uprzejmie powiadamia mnie, że dzisiaj jest piątek. Piąta nad ranem, miasto jeszcze śpi. Ale już za niedługo wzejdzie słońce, dźwięki samochodów staną się wyraźniejsze, a ulice znów będą pełne ludzi.

Zawsze staram się zapamiętać, co mi się śniło. Jednak próby są bezskuteczne. Jedyna rzecz, którą pamiętam, to że gdzieś idę. I wodę. Może zabierają mnie, by w końcu oczyścić moją duszę. Ukształtować z niej coś użytecznego.

Warto już się obudzić i zacząć zbierać. Prysznic, ubranie, kawa i wczorajsza kanapka na śniadanie. Kiedyś ta poranna rutyna mnie wykończy. Codziennie to samo, jak zaprogramowana maszyna. Może dlatego ludzie stają się zombie. Mózg umiera, a ciało wciąż wykonuje te same, znane czynności.

Ale mój mózg nie jest martwy, na szczęście wystarczyły mu trzy godziny, by się naładować. Nie jest tak źle w porównaniu do początku tygodnia.

Wrzucam do torby: zeszyt, długopis, klucze, telefon, jeszcze kilka rzeczy i wychodzę z mieszkania. Świat wita mnie świeżym powietrzem, w przeciwieństwie do dusznego pomieszczenia.

Żółty, brzuchaty autobus jedzie tą samą, stałą trasą, jak wczoraj, przedwczoraj i pewnie przez wieczność przedtem. Ale dzisiaj przyjechał o całą minutę wcześniej. Może kierowca już się przygotowywał do odjazdu. Tak bardzo nie chce mi się czekać

na następny autobus, ale skąd mam wiedzieć, co w głowie ma ten staruszek za kierownicą? Stanie i gapienie się – nie jest dobrą opcja. Ale co, jak ja nie zdążę dojść i on zamknie drzwi tuż przed moim nosem. Po prostu sobie pojedzie albo...

W głowie pojawia się sygnał: „Działaj!”

Głośny wydech i ruszam. Biegnę tak szybko, jak tylko potrafię, ścierając podeszwy. Już dawno tak szybko nie biegałem, bo nikt mnie nie gonił. Może tylko rzeczy, od których przy całym pragnieniu nie mógłbym uciec.

„Co będzie, to będzie”

Ku mojemu zdziwieniu, udało się. Przybiegłem co do sekundy. Zapłaciłem za to szczęście tylko chwilą ciemności. Może jeszcze niezrozumiałymi spojrzeniami pasażerów i przesuwającym się mrocznym cieniem po oknach.

Ogółem to lubię autobusy. One inspirują, zawsze jest o czym pomyśleć, a przy okazji można poobserwować otoczenie. Wczesnym rankiem większą część pasażerów stanowią uczniowie i starsi ludzie, zawsze ciekawią mnie ci drudzy.

Dokąd te babcie muszą tak pilnie jechać o tak wczesnej porze? I to nawet nie jedna, a dziesiątkami! Po prostu okupują komunikację miejską. Czy mają jakieś swoje tajemnicze miejsce spotkań?

Dobra, trzeba przynajmniej okazać szacunek za to, że dożyły takiego wieku. Trudno mi wyobrazić sobie, jak to jest, gdy czas przechodzi przez ciebie. Ciało traci przydatność, a ty do tego obserwujesz, jak lata przelatują, technologie się rozwijają, pokolenia się zmieniają, dzieci rosną, a przyjaciele umierają. Droga jedna, a nigdy nie wiesz, czy wybrałeś tę właściwą.

Chciałbym ich zrozumieć, zajrzeć do środka, wyciągnąć kawałki i przyjrzeć się im z bliska. Jak to jest, być kimś innym? Przeżyć i poczuć ich życie, nosząc ich skóry. Bo oni wyglądają na takich kompletnych. Wiedzących. Czy wszystko jest idealne? Czy żyją tak, jak chcieli, jak planowali? Dla mnie, z boku, wszystko wygląda tak prosto. Chociaż...

Wczoraj w autobusie widziałem dziwnego mężczyznę. Swoją "nieobecnością" za bardzo wyróżniał się spośród innych. Cały blady, przerywanie oddychający, drżący jak narkoman. Usiadłem obok niego, bo nie było wolnych miejsc. Patrzył w okno – z niepokojem; ja na jego ręce – z ciekawością, dyskretnie. Całą drogę, która nie trwała zbyt długo, kręcił coś w rękach. Może zapalniczka? Kobieta w bordowym płaszczu wyszła, zwalniając miejsce i ja przesiadłem się. Chociaż okazało się, że to nie miało sensu. On, kulejąc, wyszedł zaraz po niej. Wszystko by było dobrze, gdyby nie to, że naprzeciwko przestanku stał szpital. Onkologiczny.

Może w czymś się mylę... zostawmy to.

Następny przestanek mój. Autobus zahamował, wypluwając mnie i jeszcze kilku innych ludzi. Po kilku latach tak przyzwyczaiłem się do tej drogi, że teraz już nie zwracam uwagi. Iść niedaleko, kilka minut.

-Daaaaan! - Wydało mi się, czy ... - Stój! Poczekaj!

Nie ma sensu się odwracać, już po głosie wiem, kto to. Oczywiście zatrzymuję się, Alek szybko mnie dogania. Witamy się, ściskając sobie ręce i idziemy dalej razem, ramię w ramię. Z jego obecnością obok poczułem się lepiej. Zawsze ma coś do powiedzenia, więc od razu pytam

– Co tam? – jednym krótkim zwrotem obejmującym wszystko. Pytanie zostało zrozumiane i przyjęte. Zaczyna opowiadać, uśmiechając się szeroko i nieco przeciągając słowa.

– Pamiętasz, mówiłem ci o nagraniu? Zgadnij co?

– Udało Ci się dogadać? – nieświadomie też zaczynam się uśmiechać.

– Tak! Tylko wyobraź sobie, stary. W sąsiednim mieście jeden gość ma własne studio. Znajomy znajomego dał mi numer, pogadaliśmy chwilę i wszystko załatwione. W poniedziałek nagram pierwszy kawałek, może później cały album. Jeszcze nie zdecydowałem się.

– No, to musi być super – kiwam głową, zgadzając się, ale w jednej chwili czuję, że idę już sam. Odwracam się. Kilka kroków dalej Alek patrzy na mnie z niepokojem?

– Hej… ty spałeś w ogóle?

– Aha – krótko. – Dasz posłuchać później?

– Ty jeszcze pytasz?! Napiszę ci jeszcze dziś wieczorem. Czekam na pełną opinię. Krytyka mile widziana!

Po zniszczonych betonowych schodach, po których przeszły tysiące nóg, wchodzimy do college'u. Budynek jest dosyć duży i mieści wiele sal wykładowych.

– Dzisiaj cztery wykłady? – pytam zmęczonym głosem, przygotowując się na nadchodzące. Czasem to nawet ciekawe, tylko że trzeba siedzieć w jednym miejscu przez godziny.

– Nie, trzy. Ostatni odwołany.

– Dokładnie... i praktyka.

Zauważam, jak Alek przewraca oczami, pewnie w ogóle się nie pojawi. Wchodzimy i zatrzymujemy się w korytarzu. Przed oczami przechodzi setki uczniów w różnych kierunkach, ktoś się wita, ktoś przechodzi obok. Jeszcze jest czas, by skończyć rozmowę przed dzwonkiem, który ogłosi początek wykładu.

– Dan? Idziesz z nami jutro?

– Mam pracę.

– Szkoda. – ponuro pociera brew. Mimo wszystko decyduje się kontynuować. – Weź się w garść, wymyśl coś lepszego niż mycie naczyń w fast foodzie. Musisz po prostu przestać leniuchować, wtedy wszystko się uda. – Nerwowo się uśmiecham, kręcąc głową. To chyba tylko zachęca kolegę, by przekonywać mnie jeszcze mocniej. – Co ci się podoba? – stając się przypomnieć, przeszukuję różne rzeczy, ale jedyne, co przychodzi mi do głowy, to:

– Nie wiem.

– Czym chciałbyś się zajmować?

– Nie wiem.

– Jako kto chciałbyś pracować? – nie daje mi dojść do słowa – Powiesz "nie wiem" i ja cię uderzę. Nie możesz być taki... taki...

– Bezużyteczny? – podpowiadam, kpiąc z całej sytuacji.

– Przestań, stary, przecież nie jesteś głupi. Na przykład, jesteś dobry w tej fizyce czy coś. Dlaczego nie spróbujesz? Mój znajomy poszedł i…

Teraz ja nie daję mu dokończyć. Rozmowa przestaje być zabawna, wręcz zaczyna irytować.

– Wiesz, ile kosztuje szkolenie?

– Chłopie, jaka różnica? Masz dopiero 19 lat, możesz zostać kimkolwiek!

– Dokładnie, już nie jestem dzieckiem. I do tego nie każdy ma takie możliwości.

– Ale ty nawet nie próbowałeś!

Mówi jak pieprzony coach. Nie ma sensu próbować, jeśli już z góry wiesz, że się nie uda. Nie ma sensu, jeśli nigdy nie będziesz najlepszy. Wiem, że to wszystko bez sensu.

Dzwonek przerywa rozmowę. W powietrzu wisi wszystko, co chciałem powiedzieć. Idziemy w napiętej ciszy. W sali wykładowej nauczyciel upomina kogoś za niezrobioną pracę. Nie wytrzymuję nawet pięciu minut i wychodzę do toalety.

Nikogo nie ma. Każde drzwi szeroko pootwierane. Beżowe kafelki wokół. Pięć umywalek ustawionych w rząd. Ze słabo zakręconych kranów kropla za kroplą, odbija rytm woda. Zupełnie nie uspokaja. Rzucam torbę na podłogę. Podchodzę blisko lustra i patrzę. Nie podoba mi się to, co widzę. Człowiek w lustrze psuje życie nie tylko mnie, ale i innym. Odrażający. Słaby. Żałosny. Czy to naprawdę ja? Albo to, co zrobiła ze mną moja percepcja?

Całkowicie ogarnia mnie wstręt. Mają rację, trzeba coś zrobić. Cokolwiek, byle tego nie widzieć. Jakoś to naprawić. Tylko, żeby cienie się nie pojawiły i nie zabrały mnie ze sobą, ponownie.

Podnoszę lewą rękę i z siłą uderzam w środek lustra. Ziemia wymyka się spod nóg, a ja jakby się rozpływam. Ostatnie, co widzę, to moje oczy w pęknięciach szkła.

×××

Z trudem otwieram oczy. W głowie się kręci, wszystko jest zamazane. Nade mną niebo, całkowicie szare, mgliste. Ziemia twarda i zakurzona, a drobne kamienie nieprzyjemnie wbijają się w plecy. Podnoszę się, odczuwając ociężałość w ciele.

Przed oczami – domy, które napierają i walą się. Jakby przeklejone do siebie, tworząc długie szeregi wzdłuż ulicy. Stare, krzywe i zniszczone. Pęknięcia ciągną się od fundamentów aż po sam dach, niszcząc się od środka. Każde okno jest rozbite. Odłamki szkła wystają z pustych ram jak zęby.

Jakoś ponuro.

Przy jednym z domów stoi samochód. A właściwie jego resztki. Może spalił go ogień, może pochłonął czas. Zardzewiały szkielet. Jednych z przednich drzwi nie ma, drugie żałośnie zwisają, odsłaniając wnętrze. Po nielicznych resztkach łuszczącej się farby można zgadnąć, że kiedyś auto było żółte.

Od karku po plecach rozchodzi się drobnymi pająkami uczucie, że ktoś mnie obserwuje...

Rycerz w kartonowych zbrojach, niegdyś pokonany w swojej walce, teraz wstaje z ziemi z plastikowym kubkiem w ręku. Nie bez trudności, mężczyzna ledwie trzyma się na nogach. Nie opiera się o ścianę, lecz dosłownie leży na niej. Mógłby łatwo zjechać w dół. Wydaje się, że jedyną rzeczą, która trzyma go w pionie, jest jego spojrzenie. Chciwie chwycił mnie wzrokiem i nie przestaje patrzeć. Gość jest w starszym wieku. Krępy, z ciemną brodą i zaczesanymi włosami z siwizną. Chyba to, że spojrzałem na niego, uznał za zaproszenie, by podejść i rozpocząć rozmowę. Choć jego głos było słychać już z oddali.

– Synku – Jego głos brzmiał chrapliwie, z każdym słowem stawał się coraz głośniejszy i bardziej natarczywy. – Wiesz, że nie jestem winny!

– Przepraszam? – brzmię żałośnie. Choć nie boję się, po prostu czekam na ciąg dalszy. Nie wiem, kto on i z kim mnie myli. Muszę trzymać się prosto i być ostrożniejszy, bo inaczej zbity rytm serca mnie zdradzi. Ale rycerz ignoruje moje pytanie, kontynuując

– Kochałem ją! Chłopie... dla was przez lata pracowałem w tej pieprzonej fabryce. Żeby chleb w domu był i ciepła woda. – z siłą rzucony kubek odbił się od ziemi i powoli potoczył się w inną stronę. Chwiejąc się, mężczyzna podchodzi coraz bliżej. – Miałem tyle możliwości. Mogłem zostać kimkolwiek. Ale wybrałem was. Zostałem! Wszystko dla was zrobiłem, słyszysz?! – zatrzymuje się zaledwie dwa kroki ode mnie i nagle łapie mnie za koszulkę. To już nie rozmowa, on po prostu krzyczy. Próbuje udowodnić coś, o czym nie mam pojęcia – My z nią, przez piętnaście lat byliśmy razem, mieszkaliśmy dusza w duszę! Rozumiesz?!

– Hej! Puść mnie!!! – łapię jego ręce, próbując się uwolnić. Ma mocny chwyt, ale ledwie się trzymana nogach. Sam upada, rwąc mi kołnierz koszulki. Mógłby pociągnąć mnie za sobą, ale ja stoję pewnie.

– To bez sensu! Nigdy i nikogo nie pokocham tak, jak kochałem ją! – teraz to widzę, jest to gdzieś w jego oczach i na twarzy. Zbroje wprowadzają w błąd, ale on wcale nie jest rycerzem, tylko bezdomnym. Nawet tacy jak on potrafią odbierać sobie życie. Wydaje się, że w ogóle nie zauważa tego, co się dzieje. Znowu wstaje, kontynuując swoją mowę.

– Ale ta farbowana idiotka chciała odejść, zabrać dzieciaka ze sobą. Nawet nie zrobiłem nic, na co by nie zasłużyła. Ta kobieta przestała mnie szanować, rozumiesz? Nie pozwoliłbym, żeby tak ze mną postępowała! – Twarz czerwienieje od złości, ale szyja... W żyłach rozlewa się coś ciemnego, malując szyję na czarno. – I odeszła... Musiałem to zrobić.

– Co zrobiłeś? – w odpowiedzi cisza. Mężczyzna chwyta się za własną szyję. – Co zrobiłeś?! – powtarzam już głośniej, z paniką. Nie mogę uwierzyć w to, co wyobraziłem sobie po jego słowach.

– Jesteś taki sam – słowa wyplute gdzieś pod nogi. To jedyny raz, kiedy zwraca się bezpośrednio do mnie. Palec bezdomnego wskazuje na moją rękę. Tę, którą rozbiłem lustro. Ona też jest czarna, w miejscach zadrapań. Czuję się nieswojo, zwłaszcza z jego złośliwym uśmieszkiem.

– Nieprawda! – robię krok do przodu, ale ktoś nagle ciągnie mnie z powrotem. Odwracam się, gotów uderzyć nieznajomego prosto w twarz, ale zatrzymuję się, zdając sobie sprawę, że przede mną stoi dziewczyna. Ruda, z wyglądu o dwa, może trzy lata młodsza i o głowę niższa ode mnie. To było... zaskakujące. Opuszczam rękę

i czekam na jakieś wyjaśnienia. Ale ona nie ustępuje, chwyta mnie za rękę i ciągnie gdzieś między domami. Odwracam się, patrząc wstecz. Bezdomnego już nie ma, ale da się dostrzec jego sylwetkę znikającą w dole drogi.

– Kim jesteś? – pytam, idąc za nią w kierunku zaułka. Dziewczyna zachowuje się dziwnie, nagle i nieprzewidywalnie, znowu niespodziewanie zatrzymuje się. Marszczy brwi i uważnie mnie ogląda, oceniając mnie od głowy do nóg, szczególnie długo patrzy na moje ręce. Zaczyna mnie to niepokoić.

– A ty kim? – mówi ostro, z ironią. Nie odpowiadam, po prostu nie wiem, co odpowiedzieć. – Przepraszam... – dodaje, robiąc krok ku przeciwległej ścianie, dając mi więcej przestrzeni. – Po prostu się przestraszyłam. Zobaczyłam cię tam i pomyślałam, że on ci coś zrobi. Nie mogłam po prostu stać i patrzeć...

Nie potrzebowałem ratunku, a jeśli byłoby jakiekolwiek niebezpieczeństwo, poradziłbym sobie sam. Ale jej słowa były takie szczere. Tak od serca.

– Dziękuję... chyba – Ona kiwa głową ze zrozumieniem.

Dostrzegam coś dziwnego, czego wcześniej nie zauważyłem. Za jej czerwoną bluzą na zamku, w miejscu serca, znajduje się płonąca dziura. Wygląda to fascynująco i ... boleśnie. Ruda rozdała wszystkim swoje serce, zapominając o sobie.

Chyba ja też wyglądam dziwnie, szczególnie tu. Chciałbym się rozejrzeć, żeby zrozumieć, gdzie jestem.

– Jeśli chcesz iść, to idźmy razem, okej? – mówi, jakby czytała moje myśli. Jej towarzystwo mi nie przeszkadza, wręcz przeciwnie, byłbym tylko rady. – I bez głupot!

– Dobrze – idziemy z uliczki w kierunku przewidywanego centrum.

– Dobrze – potwierdza ona.

Sojusz został zawarty. Wychodzimy na mały plac. Miasto wygląda na małe i porzucone. Bardzo ciche, jakby czekało na coś. To myli. Na początku wydawało mi się, że jest tu niewiele ludzi, ale z tej strony jest ich znacznie więcej.

Wszyscy chodzą osobno i prawie nic nie robią. Chodzą, siedzą, czekają.

Jeden, wyjątkowo wysoki, przewyższający innych, nerwowo chodzi po swoim niewidzialnym okręgu. A na przejściu dla pieszych stoi facet w różowych okularach. Z daleka trudno dostrzec cokolwiek więcej. Z jakiegoś niewiadomego powodu chciałbym go ostrzec, ale sam jeszcze nie wiem przed czym.

Kilka kroków dalej widzę go. Jest niesamowicie chudy, tak bardzo, że spod białej, napiętej jak płótno skóry wystają ostre żebra. Za plecami złożone są uszkodzone skrzydła, a raczej to, co po nich zostało. Pióra są rozczochrane, poprzerywane. Anioł idzie powoli, z cichym dźwiękiem rdzewiejącego łańcucha przyczepionego do jego szyi. Bardzo, bardzo smutny i równie piękny. Idąc, patrzy w ziemię, a gdy mija nas, podnosi swoje zielone, w kropki, jak zielona herbata oczy. Ma szybki i nieśmiały wzrok. Odwraca się i idzie dalej. Komu służy ten anioł?

Wszyscy, których widzę, wyglądają jak złamane zabawki, posklejane z kawałków.

– Tu wszyscy tacy są? – zasmuceniem pytam Rudą. Ona ciężko wzdycha i siada na ziemi.

– Chyba tak – siadam obok niej. Ona zaczyna opowiadać coś o istnieniu "nas" i "ich". Jestem dobry w rozwiązywaniu zagadek, ale tego nie rozumiem. Przez kilka minut

siedzimy w ciszy. Patrzę na ziemię, oglądając każdą szczelinę w asfalcie. Drogi są bardzo zakurzone, jakby ktoś posypywał je szarym piaskiem.

–Długo tu jesteś? – nie mogę się powstrzymać, by nie zadać jeszcze tysiąca innych pytań, ale nie robię tego. Tylko od czasu do czasu. Boję się, że to wszystko zepsuje.

– Nie tak długo, by zrozumieć do końca, co się dzieje... i po co – to znaczy, że ona jest jak ja. Więc co powinniśmy zrobić? Może porozmawiać z tutejszymi, jeśli one tu są. Dowiedzieć się o wyjściu. Nie zdążam wypowiedzieć swoich myśli, bo Ruda znowu mówi, bardzo zamyślona, jakby próbowała coś sobie przypomnieć. – Ale mam wrażenie, że już kiedyś tu byłem. I to nie jeden raz.

– Deja vu? – pytam.

– No. Ty nie masz?

– Nie wiem – znowu się rozglądam, chyba tu nie ma nic, co by mi się wydało znajome.

– Wiem, że wszystko się powtórzy, ale nie pamiętam co. To mi się nie podoba. Nie, nawet więcej! – wskakuje na nogi. Staje naprzeciwko mnie. – To mnie doprowadza do szaleństwa. I ja się boję.

– Moglibyśmy coś wymyślić, jeśli pójdziemy w tamtą stronę, to...

Wskazuję w stronę, która prowadzi w głąb miasta. W tym samym momencie z mgły wychodzą oni. Ludzie w maskach. Jeden po drugim, z precyzyjnymi ruchami otaczają nas, ustawiają ludzi w szeregu. Ruda pomaga mi wstać, podchodzi bliżej i szepcze mi do ucha

– Wszyscy wiedzą, że wyjścia nie ma.

×××

Nikt nie wspomina, dokąd idziemy i co z nami będzie, ale podświadomie rozumiemy, jak to się skończy.

Idziemy. To bardziej przypomina marsz, idziemy jeden za drugim, a szeregi trzymają ludzie w maskach przypominających maski przeciwgazowe. Wszyscy, kiedyś żałośni i leniwi, idziemy bez celu i bez wartości. Problem polega tylko na tym, że sami to wymyśliliśmy i na poważnie w to wierzymy.

Idziemy. Nie wolno nam mówić ani dawać żadnych znaków, nie wolno patrzeć w lewo i w prawo ani oglądać się za siebie. Za złamanie zasad grozi kara, to już zdążyłem zapamiętać.

Idziemy. Najpierw dolne miasto, teraz jesteśmy na pustyni? Domy już dawno zniknęły z zasięgu wzroku, wokół tylko piasek. Piasek jest wszędzie i co chwilę wsypuje się w moje dziurawe trampki. Powietrze jest ciężkie, każdy oddech odpowiada bólem w płucach. Złapałem się na jedynej myśli, która cięgle zostaje w głowie. Już nie chcę maszerować. Jestem zmęczony i to wszystko nie ma sensu.

Przebijając hałas tysięcy butów, słyszę strzał, ktoś próbował uciec. Bezskutecznie. Nie mamy dokąd uciekać.

Straciłem rachubę. Nie wiem, ile już idziemy, a ile jeszcze zostało. Przechodzę nad ciałem. Zasadniczo zawsze tak robimy – nie zauważamy.

Idziemy. Ktoś nerwowo chwyta moją rękę. To Ruda. Płacze. A może to tylko rozpryski wody na jej twarzy?

Dotarliśmy.

Chmury gęstnieją, niebo robi się brudne, ale nie wolno mi patrzeć w górę. Jeden po drugim zbliżamy się do molo.

Raz... Palący ból.

Dwa... czuję chłód wody.

Trzy... nie ma sensu opierać się, pozwalam wodzie wziąć mnie w swoje wieczne objęcia. Płuca powoli napełniają się wodą i schodzę na dno.

To koniec, tam nasze miejsce.

Ale będę miał szansę to naprawić. Wiem to. Wiem jak.

Warto spróbować.